

Stevena i dwukrotnie zatrąbiłam, co w naszym wakacyjnym języku oznaczało: „Chodźcie pomóc z walizkami, natychmiast”.

Conrad miał teraz osiemnaście lat. Niedawno obchodził urodziny. Był wyższy niż w zeszłe wakacje, o ile to w ogóle możliwe. Włosy miał ciemne jak smoła i obcięte krótko nad uszami. W odróżnieniu od Jeremiaha, któremu włosy urosły, więc był trochę rozczochrany, ale w dobrym tego słowa znaczeniu – jak tenisista z lat siedemdziesiątych. Kiedy był mały, miał złote, latem niemal platynowe, loczki. Nie znosił ich. Przez jakiś czas Conradowi udawało się wmawiać mu, że włosy kręcą się od skórki z chleba, więc Jeremiah przestać jeść skórki z kanapek, a Conrad je wtrząchał. W miarę dorastania jednak jego włosy kręciły się coraz mniej, a bardziej fallowały. Brakowało mi tych jego loczków. Susannah nazywała go swoim aniołkiem, bo z różowymi policzkami i żółtymi kędziorkami był do niego podobny. Różowe policzki miał nadal.

Jeremiah złożył z dłoni tubę i krzyknął:

– Steve-o!

Siedziałam w samochodzie i obserwowałam, jak Steve podchodzi do nich powoli i ściska się z nimi, tak jak robią to chłopaki. W powietrzu czuło się sól i wilgoć, jakby w każdej chwili mogło lunąć morską wodą. Udałam, że sznuruje trampki, ale tak naprawdę chciałam się chwilę, w spokoju, przyjrzeć im i domowi. Dom był duży, szaro-biały i taki jak większość stojących przy drodze domów,